

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/97306,Poczatki-rewolucji-powielaczowej-Katolicki-Uniwersytet-Lubelski.html>



ARTYKUŁ

Początki rewolucji powielaczowej. Katolicki Uniwersytet Lubelski

OKRES HISTORYCZNY

(1970-1980) Od Gdańska do Gdańska

Autor: MAŁGORZATA OCIAS-BUTKIEWICZ, WOJCIECH BUTKIEWICZ 10.12.2023

Jesteśmy rocznikiem '56 i na KUL przyszliśmy w 1975 r., w połowie dekady gierkowskiej. Katolicki Uniwersytet Lubelski to wówczas jedyna wyższa uczelnia

katolicka od Łaby po Kamczatkę i nie było na niej studium wojskowego, nie wykładano filozofii marksistowskiej, a dzięki protestowi studentów w 1973 r. nie założono struktur Socjalistycznego Związku Studentów Polskich.

Katolicki Uniwersytet Lubelski znany był z tego, że po wydarzeniach 1968 r. rektor ks. Wincenty Granat przyjął studentów relegowanych z innych uczelni, tych z „wilczym biletem”, ratując ich przed represjami (wcieleniem do wojska). Na KUL-u wykładali również przyjeżdżający najwybitniejsi polscy naukowcy, tworząc kadre profesorską – ks. kard. Karol Wojtyła, ks. bp Ignacy Tokarczuk, Barbara Filarska, Tadeusz Zagrodzki, Jacek Woźniakowski, Zdzisław Szpakowski, Tadeusz Chrzanowski, Ewa Bieńkowska – obok znakomitych wykładowców ze środowiska lubelskiego: Stefana Sawickiego, Czesława Zgorzelskiego, ks. Władysława Smolenia, ks. Tadeusza Stycznia, ks. Zbigniewa Gierczyńskiego, Edwarda Zwolskiego...

Swobodnie o rzeczach najistotniejszych

Mimo że uniwersytet nie otrzymywał dotacji państwowych, „pieczę” nad nim sprawowało peerelowskie Ministerstwo Oświaty: wprowadzało cenzurę, ingerowało w programy kształcenia, ustanawiało limity przyjęć na kierunki humanistyczne.

I tak w 1975 r. kandydaci ubiegali się o cztery indeksy na filologię romańską, dwanaście na historię sztuki i po około trzydzieści na polonistykę i historię. A chętnych było kilkanaście osób na jedno miejsce. W rezultacie społeczność kulowska liczyła zaledwie dwa tysiące osób, łącznie ze studentami teologii i prawa kanonicznego, duchownymi i świeckimi.



**Gmach Katolickiego Uniwersytetu
Lubelskiego w widoku z okresu
międzywojennego. Fot. ze ziorów
NAC**

Wszyscyśmy spotykali się i przebywali ze sobą na dziedzińcu, który spełniał funkcję salonu (lub też platońskiej Akademii). Tu dyskutowaliśmy – między sobą i z naszymi profesorami; czytaliśmy, siedząc na ławkach lub leżąc na trawnikach; umawialiśmy się na randki i wygrzewaliśmy w słońcu pod krzakami bzu. Brzmi to być może romantycznie, bo wiosna w Lublinie, na dziedzińcu rojnym od przyjaciół, a my piękni dwudziestoletni, cieszący się nieskrępowaną wolnością, rozprawiający swobodnie o rzeczach najistotniejszych, o sztuce, o polityce (najmniej!), o miłości (najchętniej!), czyści od komunistycznego fałszu i szarzyzny – to było romantyczne! Ten dziedziniec stanowił oazę w rozciągającej się po horyzont złowrogiej rzeczywistości.

Tymczasem co rusz docierały stamtąd ponure wieści, jak te o zajściach w Radomiu i Ursusie, o śmierci ks. Romana Kotlarza i Staszka Pyjasa. W ten nasz kolorowy mikrokosmos podstępnie wdzierало się zło, zmuszając do zajęcia wobec niego zdecydowanej postawy.

Marzeniem był powielacz

Janusz Krupski, kilka lat starszy od nas absolwent historii, inicjator sprzeciwu wobec zaprowadzenia na KUL-u socjalistycznego związku studentów, zainspirował nas do konspiracyjnego działania. Jego przyjacielowi z roku, Piotrowi Jeglińskiemu, udało się wyjechać na stypendium do Francji. Za zarobione we włoskiej pizzerii w Paryżu pieniądze spełnił swoje i Janusza marzenie – kupił powielacz spirytusowy.

I pewnego dnia to cudo dotarło, przeschmuglowane przez Wita Wójtowicza w dekoracjach Sceny Plastycznej, do Lublina. W pokoju akademika męskiego przy ul. Sławińskiego 8 wygłuszonego, szczelnie zasłoniętego kocami, w dławiącym fetorze denaturatu drukowaliśmy nocami z Pawłem Nowackim komunikaty KOR-u, potem pismo „Zapis” i wreszcie kolejne numery „Spotkań. Niezależnego Pisma Młodych Katolików”. Janusz w pierwszym numerze nakreślił cel, który przyświecał naszemu środowisku: „niepodległa i demokratyczna Polska. Wolna Polska w Wolnym Świecie”. I jeszcze to, co doprowadzało komunistyczną władzę do furii:

„Bez niepodległości narodów Związku Sowieckiego nie odzyskamy i nie utrzymamy własnej niezależności”.

Pierwszy numer „Spotkań”, z winietą zaprojektowaną przez Gosię Ocias, wydrukowany został w mieszkaniu Stefana Szaciłowskiego; kolejny na stryszku u Ilonki i Jaśka Stepków, studenckiego małżeństwa kulowskiego, które do ślubu poszło w kolorowych, wyciągniętych swetrach. Za świadka był im Zenek Mazurczak, równie jak pan młody długowłosy i brodaty, i w jeszcze bardziej wyciągniętym swetrze (bo i Zenek długi był i

wyciągnięty). Tam też poznaliśmy przy korbie powielacza Michała Zulaufa, czarodzieja od świateł Sceny Plastycznej KUL-u. I był jeszcze Zygmunt Kozicki, hipis nieco wojskowego sznytu, o żelaznej woli, z ogromnym plecakiem, najskuteczniejszy kolporter świata. I Piotr Kałużyński, Czarny Piotruś. A wszyscy oni – barwne ptaki dziedzińcowego wybiegu – zaangażowani po uszy w konspiracyjną robotę, bo do druku i kolportowania doszło jeszcze przerzucanie literatury z NRD, która tam docierała od Piotra z Paryża.



**Nielegalna drukarnia studentów
Katolickiego Uniwersytetu
Lubelskiego, 1981 r. Fot. z
zasobu AIPN**

I tak, przenosząc się z powielaczem z miejsca na miejsce, klucząc, by zgubić ewentualny „ogon”, dokonując karkołomnych zabiegów w celu zdobycia ryzy papieru i sześciu butelek denaturatu, zarywaliśmy nocę, by pierwszym autobusem wracać o świcie, cuchnąc niemiłosiernie, do akademika, do „mojego” jedenastoosobowego pokoju. I można uznać, że to też było w jakimś sensie „romantyczne”. Oczywiście, miały miejsce także zatrzymania, przesłuchania i rewizje – najbardziej bolesna była utrata wydrukowanego już całego nakładu pisma! Po takich „śmierdzących”, wyczerpujących psychicznie i fizycznie nocach, z tym większym zaangażowaniem rzucaliśmy się w wir życia studenckiego.

Hipisi w cieniu Kościoła

To prawda, że w tym czasie na KUL-u, na dziedzińcu i w klubie studenckim Kuluary, roiło się od oryginałów i

ekscentryków. I tak niezapomniany Andrzej Makurath, pod muszką i z laseczką, z cudownymi wąsami – sumiastymi, o barwie mleka. A u jego boku Grażynka de Houvalt, dziewczyna o gołębi sercu, ogromnie szykowna (rasa szła przed nią i za nią); i Anka Hepner, z frapującym głosem, muza wielu młodych filmowców, zawsze na czarno i w glanach. Potem była Joasia Puzynianka, niczym Zosia z dworu w Soplicowie. I wreszcie Andrzej Mazur, nieustająco w awangardzie: sztuczkowe spodnie, świetne koszule, kamizelka, a jak przyszło co do czego – pierwszy punk na naszym kontynencie. I wśród tych oryginałów i hipisów brylował też Marek Kuchciński.

Ale ci kulowscy hipisi mieli wyraźne znamię różniące ich od innych wyznawców ruchu kontrkulturowego. Wybierali przecież to miejsce świadomi czułego cienia, jaki rzucały na dziedziniec mury kościoła akademickiego, i kumplowali się z rówieśnikami w koloratkach. Właściwie wszyscy byliśmy hipisami – nosiliśmy długie włosy, ubieraliśmy się barwnie, artystycznie (skąd mieliśmy te ciuchy, kiedy wszystko było identycznie szarawe – nie wiem), kontestowaliśmy rzeczywistość, a jednocześnie byliśmy z porządnych, katolickich domów, z dobrymi świadectwami niezłych szkół i po zdanych egzaminach.

...a my piękni dwudziestoletni, cieszący się nieskrępowaną wolnością, rozprawiający swobodnie o rzeczach najistotniejszych, o sztuce, o polityce (najmniej!), o miłości (najchętniej!), czyści od komunistycznego fałszu i szarzyzny – to było romantyczne!

Fascynowaliśmy się Wschodem, a jakże, i prozą iberoamerykańską, Julio Cortázaem, Jorge Borgesem – mnóstwo tego było, różnych lotów, ale w genialnych przekładach Zofii Chądzyńskiej. Odkrywaliśmy Stefana Themersona i Roberta Musila, a także to, co przeszmurowaliśmy z NRD, a pochodziło z Paryża, od Piotra: Sołżenicyna, Wata, Bobkowskiego, Miłosza. Zaczytywaliśmy się w wierszach Andrzeja Bursy, Rafała Wojaczka, Edwarda Stachury i Osipa Mandelsztama. Sami też pisaliśmy, wydaje mi się, że wszyscy, bo poetów na KUL-u było zatrzęsienie, w tym wielu naprawdę znakomitych – Mazur, Tadzio Sokal, Adam Ossoliński, Krzysztof Paczuski, Wojtek Ładocha, Tadeusz Hofmański...

Przynajmniej raz w tygodniu odbywał się jakiś wieczór poetycki i do dziś mam w pamięci świetne współzawodnictwo w improwizacji. Wszyscy graliśmy na drumli, okarynie, flecie; Łoś grał na bębnach, a Seweryn Goszczyński na kontrabasie. Byliśmy jednocześnie artystami i widownią dla samych siebie. Pełni wrozumiałości, wielkoduszności, tolerancji.

Aha, biegaliśmy również na zajęcia Małej Akademii Filmowej, bo właśnie wtedy rozpoczęła działalność (w Lublinie, potem rozwinęła się w sieć kin studyjnych w całej Polsce).

Legendarne były dyskoteki organizowane przez Krzyśka Wasilewskiego, na które usiłowała dostać się młodzież z całego miasta. W kulowskiej auli koncertowała grupa Osjan, Maanam w składzie z Milo Kurtisem, debiutowała Elżbieta Adamiak, recitale śpiewała Ela Wojnowska, studentka KUL-u. Działo siedem grup teatralnych, może więcej – obok Sceny Plastycznej Leszka Mądzika świetny Warsztat Andrzeja Mazura i Wiecha Łosia, stosujący metodę parateatru Jerzego Grotowskiego, Grupa Ubodzy, znakomita Scena Słowa Stefana Szaciłowskiego...

A wiosną Kullages!

Ale prawdziwe apogeum tego bujnego życia następowało w maju, gdy organizowaliśmy Kullages, wiosnę kulturalną studentów KUL-u. Zapominaliśmy przez te kilka dni o bożym świecie, o śnie, czasem nawet o jedzeniu. Wszędzie coś się działo i wszystko było fascynujące.

Chciało się być wszędzie i we wszystkim uczestniczyć: tam, gdzie Halina Mikołajska recytowała Herberta i Miłosza; w spotkaniach – z Jarosławem Markiewiczem czytającym swoje wiersze (pod oknem przysiadł motyl – Kasia Stańczak, przez okno wdzierał się bez), a także z Januszem Kurczabem mówiącym o sukcesach polskich himalaistów, z Krzysztofem Kieślowskim pokazującym swoje filmy dokumentalne; w wykładach – Aldony Jawłowskiej; w spektaklach – Teatru Adekwatnego Magdy Teresy Wójcik i Henryka Boukołowskiego, Teatru Ósmego Dnia; w działaniach plastycznych i muzycznych, które realizowały się w każdym, nawet najbardziej niespodziewanym miejscu: Galeria Repassage i Sławek Furmankiewicz tworzył monumentalne rzeźby w piachu na budowie frontonu uczelni i grał na rurach od odkurzacza; Jacek „Krokodyl” Malicki wykonał Grające Drzewo z krzewu rosnącego w rogu dziedzińca; w korytarzu grał na lutni renesansowej Antoni Pilch; gdzieś, stojąc na stole, śpiewał Andrzej Mitan.

A na dziedzińcu „ludki”, czyli podwórkowa młodzież z lubelskiej Starówki, pod wodzą Tadzia Sokala konstruowała latawce...

* * *

Oczywiście byliśmy też studentami i niektórym udało się nawet ukończyć studia!

Tekst pochodzi z numeru 4/2022 „Biuletynu IPN”

COFNIJ SIĘ